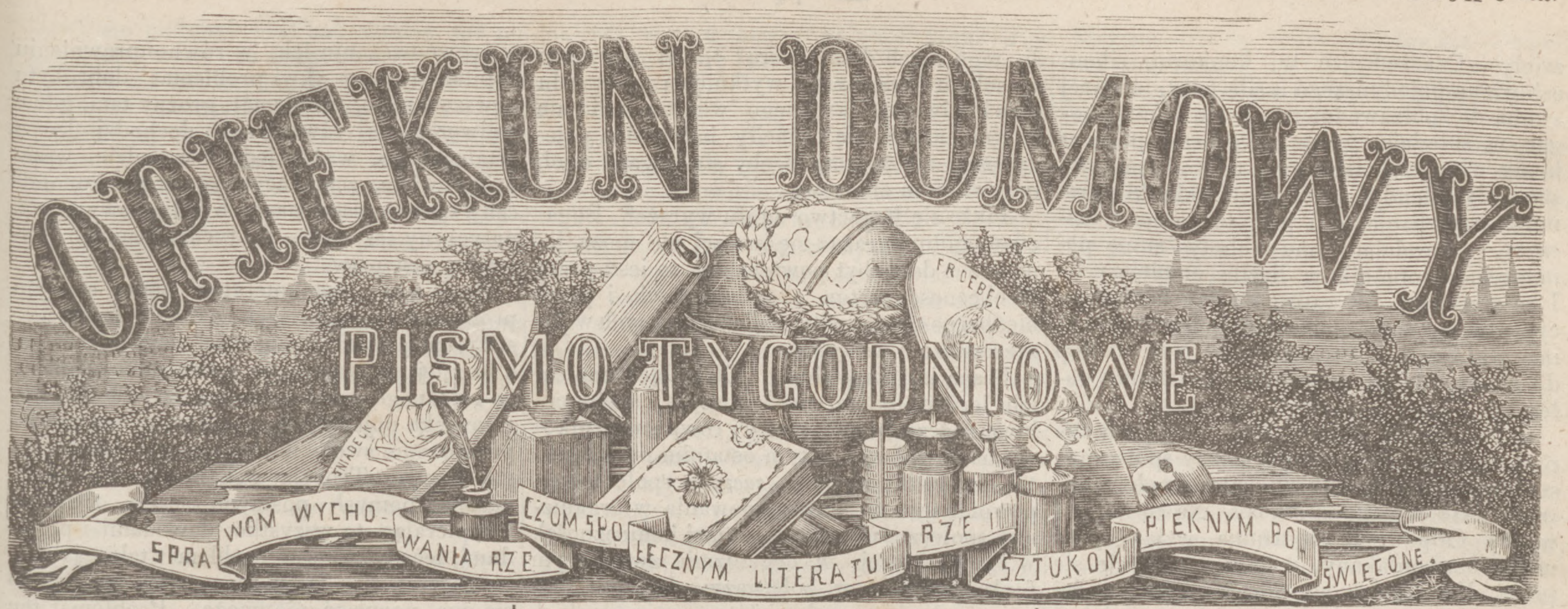
Nr. 10. Warszawa, dnia 21 Lutego (5 Marca) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie ...... „ 2 kop. 50
kwartalnie ...... „ 90	
miesięcznie ..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Noweleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

CEL PRACY.

W artykule wstępnym, drukowanym w *„Opiekunie Domowym"*, N. 45 (1872), chodziło mi głównie o zwrócenie uwagi na błędne, według mnie, pojmowanie celu i zadania pracy, wpajane w umysły młode. Zakreśliwszy sobie granicę taką, nie mogłem poza nią wychodzić. Z konieczności więc rzeczy, w artykule tym panować musiała ogólnikowość. Tyle, w odpowiedzi na zarzut ogólny, uczyniony mi (*„Op. D."* N. 5, 1873) przez szanownego „Prenumeratora".

Przechodzę do szczegółów.

Jeżeliby praca miała za zadanie specyjalne, zbogacenie tego co się jej oddaje, jeżeliby za cel główny służyło jej gromadzenie bogactw w jednym ręku, to naco się jej oddawać, gdy istnieją sposoby inne, za pomocą których można zadanie to rozwiązać i celu tego dopiąć?... Są przecie i sposoby inne!... Na zewnątrz handlu, przemysłu, rolnictwa, rękodzielnictwa, zajęć umysłowych, są stanowiska, zapewniające bogactwa ogromne a nie wymagające pracy najmniejszej, do których dochodzi się drogą dwojaką: bądź spacerem, z etapu na etap, odpoczywając na każdym, bądź też wbiegając na nie rzutem jednym, na skrzydłach prerogatywy jakowejś lub protekcyi. Nie wypada mi stanowisk tych wymieniać, celem udokładnienia myśli mojej. Szanowny „Prenumerator", niech się jeno do koło siebie obejrzy, a rzucą mu się one w oczy— wygodne i ponętne dla jednostek, dla ogółu jednak szkodliwe, bo nie wydzielające z siebie pożytku żadnego, nie produkcyjne, pomimo że olbrzymi pochłaniają kapitał.

Owóż, wyznaczając za cel pracy bogactwo, mimowolnie na stanowiska te palcem niejako ukazujemy. Praca staje jako środek, obok którego pojawia się środek bez porównania wygodniejszy i łatwiejszy. Rzuca się więc pierwszy, a ima się drugiego. I nie można tego nikomu brać za złe. Cel—wypływa to z samej natury rzeczy — zawsze i wszędzie nad środkami dominuje, nad środkami, które podzielićby się dały na trzy rodzaje: godziwe-pożyteczne, to jest takie, z których ogół korzyść odnosi—do tych bezwarunkowo należy wszelka praca produkcyjna; godziwe-bezużyteczne, neutralizujące kapitał w rękach karyjerzystów; niegodziwe, jak naprzykład wygranie majątku w karty, dojście do takowego drogą hazardu, lub też za pomocą rozboju na trakcie, kradzieży, filuteryi, oszustwa, etc. Cel—bogactwo—usprawiedliwia środki. Napróżno odwoływać się będziemy do kodeksów karnych. Nie są one w możności usunąć celu, ani też przeprowadzić pomiędzy środkami linii demarkacyjnej tak wyraźnej, ażeby ta odgraniczała stanowczo jedne od drugich. Opinija publiczna nawet nic tu nie poradzi. Ponad kodeksy, ponad opiniją publiczną stają czyny dokonane, wyrażające się pod postacią celów osiągniętych — osiągniętych na złość i na przekór pracy.

Oto dlaczego, zdaniem moim, praca inny ma cel i inne zadanie — cel i zadanie, zogniskowujące się w dobrobycie powszechnym i szczególnym.

Postawiwszy przed nią w perspektywie bogactwo indywidualne, cóż z tego wynika?— oto ona, jako środek godziwy— pożyteczny występuje w funkcyi antagonistki względem środków godziwych-bezużytecznych i niegodziwych. Współzawodniczy z niemi, walczy —czym? jakim orężem?—oszczędnością. Powiada się jej: „oszczędzaj na wypadek choroby, oszczędzaj na stare lata; chcesz mieć spoczynku chwilę, oszczędzaj; chcesz dzieciom dać wychowanie jakie takie, oszczędzaj." Nie wygląda to na żart! Tamte środki doprowadzają do celu z piorunną szybkością, ten z żółwią powolnością, i to: ilu na tysiąc, na dziesięć, na sto tysięcy? Należy ona zresztą do przeszłości, kiedy pieniądz był droższy, ludność mniejsza i stosunki ekonomiczne nie tak naprężone, jak w chwili obecnej, rozbrzmiewającej łoskotem maszyn, które śród narzędzi pracy miejsca poczesne

ŚLADY ŻYCIA.

X.

Tyle życia, ile.... w c z y n i e

Ogólne doroczne zebranie Towarzystwa Muzycznego odbyło się w dniu 23 Lutego. Obradowano nad zeszłorocznym sprawozdaniem i zatwierdzono budżet na rok następny i wybrano czterech członków komitetu na miejsce wylosowanych.

Publiczność interesująca się instytucyją, o której mowa, przypomina sobie zapewne, iż przeciw niektórym działaniom komitetu, a także przeciw niedziałaniu czyli zastojowi w pewnych kierunkach wyrodziła się w łonie Towarzystwa opozycyja, której najjaskrawszym wyrazem były wnioski bronione na nadzwyczajnym zebraniu w dniu 14 Kwietnia r. z. Wnioski te, czyli to dla niedokładnego sformułowania, czy też dla braku uprzedniej agitacyi, pomimo energicznej obrony, upadły przegłosowane kilkoma kreskami. Ale, jeśli wolno użyć starego porównania, zgłuszone ziarno nie zamarło,—owszem zakiełkowało, wyrosło, dojrzało i ukazało się w kwiecistym stroju wymowy członka Wierzchlejskiego. Nie wszystkie wprawdzie wnioski postawione i bronione przez szanownego mecenasa zostały przyjętemi, te jednak których wartość była nie wątpliwą, zyskały sankcyją ogólnego zebrania. Odtąd każdemu członkowi Towarzystwa wolno będzie dowiedzić się o decyzyjach komitetu, a nadto z czego bardzo jesteśmy radzi, w Towarz. będą miewały miejsce odczyty z dziedziny historyi i teoryi muzyki.

Prócz wniosków p. W. znany nasz skrzypek p. Górski zaproponował, aby stypendyja udzielane artystom wysyłanym za granicę mogły być podwyższone, a także aby podniesioną została stopa honoraryjów udzielanych artystom wykonawcom na wieczorach Towarzystwa. Oba wnioski zostały przyjęte.

Wogóle dyskusyja była bardzo ożywiona. Słyszeliśmy głosy odzywające się przeciw zbytecznemu hołdowaniu zagranicznej muzyce i jej zagranicznym przedstawicielom. Łączymy się z tym zdaniem na korzyść naszej własnej muzyki, której skarby leżą jeszcze odłogiem nieuprawiane i zagranicznym przedstawicielom... i jej zagranicznym przedstawicielom.

Nie możemy także pominąć zdania wygłoszonego przez p. K. tym więcej, że nie wiemy czy zostało ono zapisane do protokułu. Idzie o to, aby na rocznym zebraniu wpierw odbywała się dyskusyja nad zeszłorocznemi czynnościami, a następnie głosowanie wyborcze. Jest to jedyne logiczne następstwo. Zebrani członkowie dopiero z toczących się rozpraw mogą nabrać gruntownego przekonania, czy dawny komplet komitetu odpowiada życzeniom i potrzebom Towarzystwa czy nie—i jacy mianowicie przedstawiciele byliby najodpowiedniejsi do wprowadzenia w czyn

zajęły.—Oszczędzajże tu, konkuruj siłami człowieka pojedyńczego z siłą pary, stającej z tobą do spółzawodnictwa w sto koni!... bogać się, składając grosz do grosza, podczas kiedy właściciel warsztatu, odkłada pod postacią dywidendy, procent od wkładki ogromny, kapitalizuje go i przystawia nową maszynę, pozwalającą mu roboty sumę pomnożyć, a robotników liczbę umniejszyć!... I on oszczędza. Wyradza się stąd konkurencyja oszczędności pomiędzy spółzawodnikami, z których jeden uzbrojon jest od stóp do głowy, drugi występuje z rękami gołemi.

Zastanawiając się nad tym, nie można nie przyznać, że ustrój ekonomiczny społeczeństwa naszego znajduje się w stanie chorobliwym. Nie domaga on na coś. Na co mianowicie? Odpowiedź nie trudna, wziąwszy na uwagę stan opłakany, w jakim znajduje się praca. Nie domaga na pracę. Błędne o niej mamy pojęcie—i pojęcie to wpajamy w dzieci nasze. Dajemy im na wzór bogaczy, co z niczego milijonów się dorobili i powiadamy: „bogaćcie się przez pracę", nie powiadając, że fortuny owe są to słońca, około których krąży tysiące planet w łachmanach, wynędzniałych, z głodu skowyczących. Widowiska te oglądać można w Anglii albo w Belgii. Dają się one *gratis* dla ciekawych, dla ekonomistów zwłaszcza, biorących je za podstawę do fizyjologii społecznej i budujących na nich systematy o krążeniu i rozkładzie bogactw. Tu sęk. Krążenie i rozkład bogactw, skupiających się w rękach, coraz to zmniejszającej się ilości krezusów, odbywać się nie może prawidłowo w organizmie chorobliwym. Odbywa się ono tak, jak krążenie i rozkład soków żywotnych—przepraszam za porównanie—w gęsiach, tuczonych na rozdęcie do rozmiarów olbrzymich wątroby, w celu fabrykowania z takowej pasztetów strasburskich. Porównanie to wydaje mi się trafnym. Wątroba społeczna znajduje się w stanie rozdęcia potwornego, przeszkadzającego do powzięcia jasnego pojęcia o funkcyjach żywotnych organizmu społecznego. Błędne nadajemy znaczenie kapitałowi, błędne znaczenie pracy. Ekonomija polityczna podporządkowuje drugą piérwszemu, przyznając temu ostatniemu wyłączne prawo inicyjatywy, kontroli, kierownictwa, władzy zwierzchniczej i powiada: „o fakt, tak być musi—komu krzywda, tego niech djabli biorą" [1]). Wypływa to sposobem logicznym z wyknięcia pracy celu niewłaściwego, tkwiącego według mnie nie w tym, ażeby się bogaciły indywidua pojedyńcze, ale w tym, ażeby się bogacił ogół, indywiduum zbiorowe.

Jakże się bogactwo ogółu wyraża? Bogactwo ogółu wyrażać się inaczej nie może, jeno przez dobrobyt powszechny, to jest: przez nieobecność fortun skandalicznych i przez nieobecność nędzy skandalicznej idących w parze zawsze i wszędzie.

Praca jest kapitałem. Nie będąc sama celem lecz środkiem, nie dopuszcza, ażeby celowe znaczenie nadawać jej równoznacznikowi; na równi więc z tym ostatnim ma znaczenie, że się tak wyrażę, *zaczynu* społecznego, powołanego do funkcyjonowania w organizmie społecznym mocą tej samej konieczności, w skutek której, w organizmie zwierzęcym funkcyjonują krew, żółć, gazy;—i wkładającego na członków społeczeństwa, na wszystkich razem i każdego z osobna, *obowiązek obywatelski*, podobny do tego jakim jest: płacenie podatku pod postaciami rozmaitemi, pełnienie służby publicznej, wychowanie dzieci, etc. To jej cel, to jej zadanie i tym okreslają się jej prawa, równe i jednakie pod względem każdym jak prawa kapitału.

Jak kapitał ma prawo inicyjatywy, kontroli, kierownictwa, władzy zwierzchniczej; tak samo i praca ma prawo inicyjatywy, kontroli, kierownictwa, władzy zwierzchniczej.

Jak kapitał ma prawo do procentu, celem utrzymania się przy życiu; tak samo i praca; ma prawo do procentu, celem utrzymania się przy życiu.

Jak kapitał ma prawo do nadwyższki nad procent (fundusz żelazny, dywidenda), dla zabezpieczenia się przeciwko wypadkom nieprzewidzianym; tak samo i praca ma do tejże samej nadwyższki prawo.

W zestosunkowaniu praw tych zobopólnych, pogwałconych nie przez nas i nie za nas, w zrównoważeniu ich, w równouprawnieniu kapitału i pracy tkwi problemat dobrobytu powszechnego, problemat, groźny tam, gdzie nadwerężenie równowagi dochodzi kresu ostatecznego, ważny jednak wszędzie, wszędzie bowiem, z tej racyi, że ustrój ekonomiczny społeczeństw naszych jednakowym jest, przyczyny też same, do tychże samych prowadzą następstw.

Szanowny „Prenumerator" żąda, ażebym problemat ten rozwiązał. Żądaniu temu, niestety! nie jestem w możności uczynić zadość, a to z tej przyczyny, że rozwiązanie groźnego i ważnego problematu tego przechodzi siły człowieka pojedyńczego, nie mającego na rozporządzenie swoje nic innego, jak tylko: czystą teoryją. Teoryja wskazać może drogę, nasunąć pomysł, postawić zasadę, otaczając i wspierając to wszystko dowodami i prawdami; lecz rozwiązać problemat taki, jak się rozwiązują zagadnienia matematyczne, na to się ona porywać nie może. Problemat ten tkwi w życiu, w praktyce, rozwiąże się zatym na drodze życiowej, praktycznej, na drodze doświadczeń i prób, do przedsiębrania których teoryja nawołuje. Są tacy, co podają recepty różne na chorobę społeczną, co proponują sposoby i za skuteczność ich ręczą, nie rozwiązują jednak zagadnienia, wszakże do rozwiązania onego potężnie się przyczyniają. Są znów inni, co praktykują i próbują. Kwestyja się w ten sposób rozjaśnia, obracając się niejako i pokazując ze stron rozmaitych pod naciskiem potrzeby, co ją wywołała i na porządku dziennym postawiła. Przygotowują się materyjały. Gromadzą się akta.

T. T. Jeż.

[1]) Ekonomija polityczna, zdaniem moim, niesłusznie przybiera nazwę Fizyjologii społecznej, stawiając się przez to na równi z Fizyjologiją zwierzęcą. Nie jest ona, jak ta ostatnia, nauką pełną, opartą na faktach pewnych, lecz raczej zbiorem faktów i spostrzeżeń często wątpliwych, zawsze jednak ważnych, służących za materyjał do nauki w przyszłości: Socyjologii. (*Przyp. aut.*)

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Mimo swoję trzpiotowatość i złe wychowanie, Gucio się oburzył słysząc te wyrazy.

— Ten ktoś, panią bardzo blisko obchodzi!—rzekł.

— Bardzo blisko!—odparła krótko.

Nastała chwila milczenia.

— I ty chłodno znosisz stratę kobiéty, któ-

---

tych postulatów jakie stawiamy na rok następny. Otóż w miarę tą drogą sformowanych przekonań Towarzystwo albo zostawia dawnych wylosowanych członków, albo też wybiera innych, odnawiając skład komitetu pożądanym przez siebie żywiołem. Inaczej—stąpa się poomacku.

* * *

I oglądaliśmy owę *Spółkę połączonej pracy kobiet*, która tyle ma przyjaciół i tyle nieprzyjaciołek. Mamy tu na myśli głosy naszej prasy, w której rzeczona spółka znalazła wiele zdań niechętnych, wygłoszonych przedewszystkim przez żeńskie organa, t. j. jaśniej mówiąc przez pisma najchętniej czytane, a także i redagowane przez kobiety. Zdanie kobiet—toż to powaga w rzeczach wyrobów niewieścich. Przyznajemy się też, że dość długo wierzyliśmy tej powadze, ale.. ale.. przekonaliśmy się że, jak mówi urywek ze starej piosenki:

„Czy to na wsi, czy to w mieście.
Nigdy nie ufaj niewieście."

Sprowadzając kwestyją na grunt poważny—podamy w jednym z następnych numerów naszego pisma obszerniejszy rozbiór instytucyi zasługującej na szczere uznanie i poparcie ogółu. Nie pominiemy i stron ujemnych, jakie nam się przedstawiły: są one, może nawet i dosyć liczne, nie mniej przecież przy dobrej woli złe da się naprawić, a to co jest dobre rozwinąć się powinno. Kwestyja to nader ważna, idzie tu bowiem o rozszerzenie zakresu pracy kobiecej, o wywalczenie dla niej niezależnego stanowiska. Ten grunt praktyczno-ekonomiczny chociażby w kiełkującej dopiero instytucyi wart zapewne o wiele więcej, niż niektóre oderwane szumne deklamacyje na temat emancypacyi pięknej połowy naszego rodzaju.

* * *

Korespondent Gazety Rolniczéj z Poznańskiego donosi o starciach, jakie od pewnego czasu mają miejsce pomiędzy parobkami dworskiemi a właścicielami ziemskiemi. Przyczyną nieporozumień jest małe stosunkowo wynagrodzenie otrzymywane przez parobków dworskich. Średnią ich zapłatę stanowią: 9 korcy zboża, 16 talarów zasług, mórg magdeburski ogrodu na kartofle i pasza dla jednej krowy na oborze. Ale przytym żona parobka obowiązaną jest do różnych darmoch, jak do doju krów dworskich, do grabienia siana, wynoszenia nawozu z obór na gnojownie, prania i strzyżenia owiec, przędzenia i t. d. Te darmochy zwiększane coraz bardziej w miarę przymnażenia się ludności wiejskiej, a nadto jednoczesne ograniczenia co do trzymania drobiu, chowania świń i t. d., ujemny wpływ wywierały na usposobienie tych ludzi skazanych na ilotów przez niesumiennych obywateli, szczególniej Niemców, którzy nawet zabraniali trzymania krów. To też nie można się dziwić, że przy otworzeniu się lepszych dla nich widoków, zaczęli się cisnąć do Królestwa, na Litwę, a teraz nawet, pomijając zarobkowanie przy fortyfikacyjach, kolejach i innych przedsiebierstwach w Niemczech, cisną się do Ameryki. Szczególniej z powiatu Krobskiego i Wyrzyskiego, jak twierdzi wspomniony korespondent, ogromne mnóstwo ludzi wiejskich puszcza się za morze.

* *

Bracia Hordliczkowie właściciele znanej chlubnie w kraju naszym huty szklanej we wsi Czechy pod Garwolinem położonej, otrzymali przy stosownym dyplomie, medal złoty od paryskiej akademi rolnictwa, przemysłu i rękodzieł, za wyrób naczyń szklanych i kryształowych.

* *

Wkrótce otwartą zostanie papiernia sutyska wzniesiona przez p. A. Bekkersa w po-

ra ci się podoba? Ha! ha! wyście już nie mężczyzni! wodę nie krew macie w żyłach!.. Dawniéj dla kobiéty ludzie waryjowali—tracili krocie, pojedynkowali się! dziś—nawet na namiętną miłość zdobyć się nie umieją! Jesteście żaki — naprzeciw tamtych salonowców i birbantów — automaty — głazy! Kiedy ja miałam lat dwadzieścia!.. ha!— Spytaj się księcia Marcelego przez co stracił majątek—i posłuchaj, gdy zamruczy moje imię!.. Badaj hrabiego Brunona, skąd mu ta blizna przez czoło, co ją nawet staranna peruka zakryć nie może — pana Adolfa — o wspomnienia—wreszcie wszystkich ex-wietrzników i światowców; - każdy na jeden temat podobną zanuci waryjacyją!.. To się nazywa być wielbioną!..

— A pani? pani czy wielbiłaś kiedy wzajem? — pytał zadziwiony takim zwrotem Gustaw.

Hrabina Ruszczyc nagle pobladła—ścisnęła drobne ręce—i szepnęła.

— Tak!.. i ja wielbiłam – raz—raz jeden, na zawsze!...

— Więc zrzekasz się już twéj zdobyczy?— spytała nagle.

— Pani jesteś moim i téj biednéj, złym duchem! za co ją pani obdarzasz swą nienawiścią!

— Tak! nienawidzę ją! jak nie nawidziłam jéj matkę! i chcę, żądam, pragnę téj zemsty, aby tę zuchwałą widzieć z piętnem hańby na czole, niepokalanym dotąd, aby wtedy, pokryjomu przedstawić ją ojcu— i módz powiedzieć: Oto twoja córka—mogę ciebie i ją publicznie ośmieszyć i zhańbić! Byłoby to tylko pogróżką — ale ręczę, żeby się jéj lękano! Ah! ja to muszę zrobić!

— Pani jesteś straszną! — ja—ja kocham Beatę — ale daję pani słowo, że nie zrobię kroku dla oszukania jéj! Byłbym po dwakroć podłym!

Przeciągły śmiech hrabiny był jedyną odpowiedzią.

— Ah! Guciu!—rzekła nakoniec—jak ty jesteś mauvais genre! — a jaki śmieszny z tą bohaterską miną! Niezrównany!

Ktoś zadzwonił — lokaj oznajmił hrabinie wizytę pewnéj długo pożądanéj znakomitości—powstała poprawiając bez ceremonii tualetę — posypała twarz pudrem, i piękna, zimna — wyszła do salonu ze zwykłym wyrazem obojętności i znużenia. Gucio rzucił się na sofę w najwyższym gniewie i zaklął po francusku dosyć energicznie.

XIII.

— Doprawdy panie Emanuelu, jesteś pan ciekawym egzemplarzem pedanta!

Te słowa wyrzekła hrabina Elodyja, stojąc minut kilka na progu biblijoteki i obserwując młodego człowieka, nieruchomie siedzącego nad jedną ryciną, ale, jak się zdawało, nie widząc jéj wcale. Na dźwięczny głosik mówiącéj, obrócił żywo głowę i w téj chwili pochylił się w inną stronę, przybierając surową prawie minę.

Elodyja stała, jak mówiliśmy na progu. Jakieś postanowienie malowało się na jéj zarumienionéj twarzyczce: — usteczka złożyła wyzywająco, wysunąwszy naprzód dolną wargę, wierzchnią przygryzała lekko białemi ząbkami z trudnym do określenia wdziękiem. Główkę przystrojoną w loki i kokardy ze wstążki różowéj, nadzwyczaj zalotnie przechyliła w tył, usiłując nadać sobie pewność i swobodę pozycyi. Ubrana była w suknią mocno różowego koloru, wyciętą z przodu, z rękawami dozwalającemi widzieć białe śliczne ręce, obciążone bransoletkami. Oczy jéj były lśniące, jakby dopiero skąpane w łzach gorących i czystych; czekała odpowiedzi, otwierając i zamykając trzymaną w ręku książkę.

— Co pani rozkaże?—spytał zimno Emanuel.

Milczała chwilę—jakby zalękniona.

— Nie odpowiedziałeś mi pan — rzekła wreszcie.

— Przeciwnie! Pani nie dała odpowiedzi, czy pani żąda książek?

— Nie!—odparła z mocą nagłą.

— Może rycin, lub mapp?

— Nie!

— Więc chyba okładek albo papieru?..

— Ale nie!.. powtórzyła śmieléj.

— A! to już nie rozumiem!—rzekł zimno Emanuel.

— Obok książek i materyjałów bibljotecznych, jest tu przecież coś więcéj!.. — mówiła Elodyja zmieszana.

— Przebacz pani! nie mam daru rozwiązywania zagadek!

— Ależ... znajdują się tu ludzie!..

— Ah! jeżeli pani chodzi o Tomka lub Marcina,—będą wolni natychmiast — wyszli oczyścić pakę.

Elodyja tupnęła nóżką — łza jéj zwisła na rzęsy.

— Nie potrzebuję ich! — zawołała—przecież pan także jesteś tutaj — czemuż pan nie przypuszcza, abym przyszła do niego?.. zdaje mi się, że mogę to zrobić i nie powinno to się panu wydać dziwne!..

— Nie wiedziałem, że pani ma do mnie interes!

— A! pan jesteś niegrzeczny! niedobry!— chcesz mię pan poprostu wypędzić?.. a jednak... ja na pana gniewać się nie mogę! Nie!—nie mogę!.. wybuchła Elodyja nawpół z płaczem.

— Przyszłam tu, aby panu odpowiedzieć cokolwiek na jego zarzuty: — oskarżyłeś mię pan nielitośnie we własnych oczach, z nieubłaganą surowością wykazałeś moje błędy i obowiązki, — a jednak — jednak... Qui sait sous quel fardeau sa pauvre âme succombe!.. szepnęła cicho, tracąc zupełnie wyzywającą minkę z jaką weszła.

— Ależ mój Boże! —jeśli panią moje słowa obrażały, czemu pani nie dała mi tego poznać — byłbym umilkł i poszedł sobie natychmiast,—tym bardziéj, że ostrzegłem panię o mojéj niezabawności!—mówił zakłopotany Emanuel.

— Obrażały!—obrażały?!.. powtórzyła boleśnie Elodyja. Czy pan sądzisz, że ja nie mam zupełnie żadnych wznioślejszych uczuć?.. rozsądku, przenikliwości... serca nakoniec! serca kobiéty wrażliwego jak czułokrzew?..

— Owszem pani — uznaję to wszystko!— odparł sztywnie Emanuel.

— Powiedz-że mi pan! — rzekła Elodyja siadając na krześle, i usiłując zebrać całą zuchwałość i dowcip, którego w wielkim świecie tyle się nasłuchała — dla czego mię pan traktujesz jak podlotka, — unikasz jak istoty niebezpiecznéj?..

— Pani się myli!

— Nie! to rażące! — a wiesz pan? jabym mogła stąd wyciągnąć bardzo pochlebiające méj miłości własnéj wnioski?.. zawołała z wysiłkiem Elodyja, impertynencko podnosząc główkę i wspierając na ręku rumianą twarzyczkę. Lecz spojrzawszy ukradkiem na Emanuela pobladła—i pochyliła czoło.

Spokojny, niewzruszony napozór, ściągnął piękne brwi surowo i rzekł znów oziębłe:

---

wiecie bracławskim guberni podolskiej. Kapitał jéj towarzystwa wynosi 400,000 rs., podzielony na 400 akcyi po 1,000 rs. Fabryka ta położona jest nad rzeką Bugiem i będzie działać za pomocą wody, do czego urządzoną jest machina o sile 120 koni. Papiernia sutyska znajduje się w odległości dwu wiorst od stacyi Gniwań kolei żelaznej brzesko-kijowskiej.

* * *

Uzupełniając wiadomości podane przez nas w jednym z poprzednich numerów Opiekuna o eskoncie weksli Banku Polskiego, podajemy jeszcze parę cyfr, dowodzących ciągłego jéj wzrostu. W ciągu r. 1872 eskonta wynosiła 14,795,106 rs. 52½ kop. w ciągu zaś miesiąca Stycznia r. b. eskontowano weksli sztuk 3,477 na ogólną summę 2,043,467 rs. 5½ kop.

* * *

Czytelnikom naszym wiadomo, że na konkursowe zadanie redakcyi czasopisma Przyroda i Przemysł: *O wpływie nieczystości miejskich na wodę wiślaną*, nadesłano jedną tylko rozprawę, napisaną przez Dra S. Otóż w zeszły wtorek, zaproszony przez redakcyją komitet, rozpatrzył szczegółowo wartość pracy wspomnionéj.

Komitet nie uznał nadesłanej rozprawy za odpowiadającą warunkom konkursu, chociaż z drugiej strony żywe objawił uznanie dla całości pracy.

Główną przyczyną odmowy jest brak okazów wody z każdéj analizy, za mała ich liczba (jedna całkowita, zamiast pięciu), i pewna niejasność podawanych metod rozbioru lub tu i owdzie zdarzający się brak takowych. Redakcyja powzięła przeto zamiar utrzymania tegoż samego konkursu przez rok następny i powiększenia nagrody. Popierając całą duszą te szlachetne chęci redakcyi, pozwalamy sobie wyrazić wdzięczność naszę p. S., który sam jeden stanął do konkursu, chociaż jak wiemy o tym dobrze, przed pół rokiem więcej jego towarzyszów w szlachetnej myśli współzawodniczenia, przygotowywało się do uczczenia własną pracą pamięci Kopernika— ale jak zbyt jeszcze często u nas się dzieje, brak wytrwałości lub środków, nie dozwolił im na czas pracy wykończyć. Mamy nadzieję, że za rok będziemy mogli podzielić się z czytelnikami lepszą niż dziś wiadomością.

* * *

Na czwartym odczycie Adama Wislickiego Redaktora Przeglądu Tygodniowego było osób 650. Zmniejszenie się zwykłéj liczby słuchaczów, nie pochodziło bynajmniej ze zmniejszenia się konkurencyi o bilety, które bardzo wcześnie rozkupione zostały, lecz wyłącznie z rozporządzenia władzy, która ze względu na bezpieczeństwo budynku Rappo, więcej osób wpuszczać nie dozwoliła. W przyszłą niedzielę piątą z kolei prelekcyją mieć będzie członek redakcyi naszego pisma, Jan Maurycy Kamiński, Magister Prawa i Administracyi „*Malownicza podróż po Europie*“ z odpowiedniemi obrazami niknącemi.—Bilety po *kop. 5* są do nabycia w Redakcyi Opiekuna Domowego i Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczej (Chłodna N. 10).

Nadmieniamy, że odczyt dwunasty „Praca i lichwa“ wypowie Redaktor Opiekuna Domowego Henryk Perzyński; trzynasty— współpracownik Opiekuna Domowego, Walery Przyborowski: „Odkrycie Ameryki;“ czternasty – współpracownik „Opiekuna Domowego,“ Aleksander Głowacki: „Odkrycia i wynalazki.“

— Pani się myli!
Potym spostrzegłszy zmianę wyrazu jéj lica, łagodniéj spytał.
— Czy pani zna poemat Lamartine'a „*Jocelyn?*"
— Nie!—odparła nieco zdziwiona.
— Właśnie rycina, którą oglądałem jest sceną z tegoż poematu.
— Chciałabym go czytać!—rzekła podnosząc oczy.
— Oto jest! — Obok prawdziwych zalet poezyi, łączy taką potęgę przedstawionego charakteru ze szlachetnością myśli, że podług mnie, jest to arcydzieło w tym rodzaju!
— Bohaterem poematu—jest młody człowiek, który poświęca się dla dobra swéj ubogiéj rodziny, zostaje księdzem dla powiększenia posagu siostry zrzeczeniem się majątku nań przypadającego — i mimo powołania, przyjmuje na siebie ciężar nowych obowiązków z silną wolą godnego ich spełnienia. Cierpienia biednego serca wymownie kreśli autor przez usta samego Jocelyn'a. Jocelyn potrafił je stłumić. Aż wypadek, zesłał na jego drogę, młodą dziewicę, kryjącą się pod męzkim przebraniem którą z początku ukochał jako brata,—późniéj, za wykryciem tajemnicy,—najgłębszą, najtkliwszą miłością.
— I zachwiał się w surowości zasad?.. spytała z ogniem Elodyja.
— Nie! — zwyciężył — choć los jego był we własnym ręku. Zdala od ludzi, w grocie nieznanéj nikomu, żył długo, razem z Laurencyją przebraną; od niego zależało pozostać tam i pozwolić zapanować nad sobą wzajemnemu uczuciu które związało ich serca... zapomnieć ślubów o które mogło upominać się tylko własne sumienie!
— I... i oparł się sercu?...
— Oparł się — i zwyciężył! Przebył mękę straszliwą—może karę za lekkomyślną ofiarę życia, spełnioną z musu, z nakazu woli. Wypił kielich goryczy aż do dna: — wyrwał się natychmiast z słodkich, niebezpiecznych więzów, i wrócił do obowiązków złamany, ale z męczeńską pogodą duszy, z poddaniem znoszący cały ogrom swego krzyża!..
Poemat ten dziwnie działa na człowieka:— podnosi, uzacnia myśl czytającego, wywołuje łzy, każe cierpieć razem z bohaterem—i uznawać, podzielać heroizm zupełnego zaparcia się siebie. Piękny, łagodny duch religijny, właściwy utworom Lamartine'a, cechuje ten utwór, pełen idealnego wdzięku i poezyi!
— Więc — podług pana, ten tylko jest prawdziwym bohaterem, kto sam zdruzgocze własne szczęście?
— Nie pani!—lecz ten—kto zwalczy zgubną namiętność dla obowiązków świętych!
— A za całe życie męki — cóż mu się zostanie?
— Najwyższy szacunek dla samego siebie,—spokój i zgoda z sumieniem.
Oboje nie widzieli trzeciego słuchacza, który stojąc we drzwiach, uważał osoby i rozmowę— i zwolna, zachmurzona przy wejściu twarz jego przybrała wyraz obojętności. Słuchaczem tym, był hrabia Władysław.
— Bonjour! — odezwał się—hrabina Elodyja, słucha kursu filozofii praktycznéj, jak widzę!
— A tak! odparła nieco złośliwie.
— Słusznie!—pan jako przyszły profesor potrzebuje wprawy w wykładanie przedmiotów.
Emanuel milczał.
— W każdym razie, talentu wymowy można powinszować—ciągnął daléj hrabia siadając przy żonie—jak równie bujnéj fantazyi i poetycznéj formy!
— Dziwi mię, że Pan, zawzięty nieprzyjaciel poezyi i literatury, tak dobrze umie ocenić subtelne jéj odcienia! odparł szydząc Emanuel.
— Brawo! mon cher! Jesteś pan równie dowcipnym jak miłym—ale ja, wzorem ogólnym arystokracyi nie jestem nieprzyjacielem literatury—przeciwnie—nam to ona zawdzięcza swój rozwój. My to bowiem zasilamy usta śpiewaków, mniéj więcéj zawsze głodnych, chlebem powszednim, kupując książki, łożąc na koszta wydawnictwa, wreszcie,— zapraszając talenta na obiady i urządzając na ich cześć uroczystości!
— Jest racyja! panie hrabio!
— Nie prawdaż?
— Tak! zamiast serca i braterskiego uścisku, dajecie sakiewkę z pieniędzmi!—zawołała Dyjola.
— Bo to pożądańsze mój aniele!
— Jesteś szkaradny materyjalista!
— A ty najpiękniejsza z entuzyjastek!
Elodyja unikając objęcia hrabiego wzięła za książkę i szybko chciała wybiedz,—ten ją zatrzymał, mówiąc:
— Mam list do ciebie!
— Od kogo?
— Od Gucia—przyjadą za tydzień!
— Ah! kochany braciszek!
— Więc tylko trzeba się zdecydować raz na imię małéj; ja stanowczo głosuję za Emmą.
— A ja nie chcę Emmy. Brzydkie imię!
— To Izabella!
— Ah! tymbardziéj!
— No! to wymień sama!
— Panie Emanuelu! przypomnij mi pan jakie ładne, oryginalne polskie imię!—rzekła Elodyja zwracając się do niego z minką znudzoną.
— Dobrze! i ja się zgadzam na wybór pana!—dodał hrabia.
— Ja mogę tylko wymieniać po kolei imiona—rzekł Emanuel z uśmiechem, wywołanym zabawną sprzeczką małżonków.
— Słuchamy!
— Dla mnie, ładnym jest imię *Beata*.
— Co?!.. zawołał hrabia z dziwnym akcentem.
— Beata!—powtórzył Emanuel sądząc, że hrabia nie dosłyszał.
— Ah! śliczne imię! dobrze! Beata! dobrze!—wołała Elodyja zadowolniona.
— Skądże panu ta imię przyszło do głowy?!—spytał Władysław szorstko.
— Znam osobę z takim imieniem!—odparł zdziwiony Emanuel.
Szczególny rumieniec okrył policzki hrabiego; gryzł cygaro w zębach z wyrazem mocnego podrażnienia. Elodyja tego nie uważała.
— A więc Beata! oryginalne, piękne, interesujące imię! mówiła daléj.
— Nie! — nie pozwolę na to! — wyrzekł hrabia.
— Jakto?.. dla czego?...
— Niech się nazywa jakkolwiek—byle nie tym imieniem! Szczególne—źle brzmiące!..
— Ależ ja chcę koniecznie!
— Powiedz-że pan inne imię! może przełamie ten upór do tamtego, tak niefortunnego pomysłu! — powiedział niecierpliwie hrabia.
— Więc imię mojéj matki—Amelija.
— Dobrze! zgoda na Ameliję—rzekł Władysław, a zachmurzona Elodyja powtórzyła:
— Niech będzie Amelija, —ale ja wolałabym piérwsze.
— Proszę cię—nawet go nie wspominaj!— rzekł porywczo hrabia—i podał jéj ramię do wyjścia, na którym z niechęcią się wsparła.
Zostawszy sam, Emanuel potarł ręką po czole i oczach, jakby chciał zatrzeć jakieś przykre widzenie i zabrał się jak zawsze, do pracy.
Ale postanowionym było, aby mu tego dnia nie dano spokoju: hrabia Władysław powrócił i namówił go na przejażdżkę, nalegając z właściwym mu tonem lekkiéj, uprzejméj impozycyi. Emanuel wyszedł wraz z hrabią przed ganek, gdzie już czekał mały odkryty powozik, prawdziwe cacko sztuki powoźniczéj;—wsiedli obaj i pojechali.
Dzień się zbliżał ku zachodowi: — ognista kula słońca już nie raziła blaskiem promieni—ale kąpiąc się w mgle różnobarwnéj obłoków, łagodnym światłem oblewała czarowną okolicę. (*d. c. n.*)

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

II.

Adam Pług.

(Dalszy ciąg).

Ten rozwój i to następstwo w procesie tworzenia uwydatnia się zresztą i w dwudziestoletnich [4]) dziejach literackiej pracy Pługa. W dziejach tych trzy najważniejsze powieściowe utwory wskazują na trzy główne stadyja rozwoju jego socyjalnych poglądów. Utworami temi są: „Marcin futornik" (1852 r.), „Duch i krew" (1859 r.) i „Oficyjalista" (1867 r.) [5]). W piérwszym myśl społeczna zaledwie kiełkuje. W drugim—rozprasza się *na rozstaju* w kaznodziejskich ogólnikach, w trzecim nakoniec—dochodzi do pewnego określenia, znajduje właściwą dla siebie drogę i zastosowanie.

Marcina futornika wiąże dość ścisłe pokrewieństwo z Ostapem Bondarczukiem Kraszewskiego, choć różnica między temi charakterami, uważanemi jako zależne od odpowiednich warunków osobniki, jest prawie namacalna. Ostap jest chłopem, Marcin—szlachcicem. Jak jeden, tak i drugi, po doznanych zawodach, osiada w wiejskim zaciszu, dając za wygraną społecznemu apostolstwu na szerszych zagonach, jak jeden tak i drugi wybiera w jesieni swego życia rolę *piérwszego między ostatniemi*. Lecz postać Ostapa jest ekscentryczną, idealną, sfałszowaną tchnieniem bujnej; choć przezacnej tendencyi, podczas gdy Marcin nie przekracza rozmiarów książką i życiem oświeconego szlachcica z zaścianka, a pracując z ukochaną towarzyszką życia na szczupłym zagonie, godzi w przyzwoitej proporcyi osobiste szczęście śród rodziny z minijaturą pracy społecznej w granicach swego sioła. Człowiek społeczny w Marcinie futorniku jest cichym, *lękliwym apostołem* wytrwałej pracy i umiarkowania, więcej mężem i ojcem, niż dobrym przewodnikiem światła w gronie współbraci. Poeta w chwili pisania Marcina futornika uląkł się widocznie rozległego pola walki i reformy, i wiązką skupionych ducha swego promieni zdołał zaledwie futor i kółko rodzinne oświecić. Byłato piérwsza na tym polu próba; gdyż napisaną dwoma laty wcześniej (1850) powieść: „Dzieciobójca", można słusznie uważać za wstępny rapsod zbolałej duszy chrześcijanina, za poetyczną introdukcyją do cyklu trzeźwiejszych społecznych utworów.

W „Duchu i krwi",—powieści na wskróś idealnej, bo będącej wiernym uświęceniem naczelnego zadania, wymownym uznaniem wszystkiego, co potwierdza prawa ducha, a praw krwi zaprzecza, spostrzegamy już drugi moment twórczości Pługa—jako socyjalisty. Praca społeczna rośnie, wyjaśnia się, *przekonania z uczuć powstałe*, dojrzewają powoli, odpowiednie przybierając kształty; bohaterowie, jakkolwiek zawsze bierni, śmielszy przeciw złemu społecznemu organizują opór. W powieści tej każdy z trzech stanów (ary-

[4]) O ile nam wiadomo p. A. P. wystąpił poraz piérwszy na arenie literackiej *1847 r.*, jako autor utworu, noszącego tytuł: „Wigilija Ś-go Jana."
[5]) W Kłosach; odbitka w 3 tomach 1873.

stokracyja, szlachta i chłopstwo), których kastowe, dziedziczne przedziały całą siłą autor znieść pragnie, ma swego mistrza przedstawiciela z odpowiednią barwą i charakterystycznemi rysy. Książę Maryjan, Bogumił i Szerepeciński, dążąc do jednego celu i dopełniając się wzajemnie, są różnemi odmianami jednego charakteru, urobionemi wedle zbiorowej modły odpowiednich warunków. W każdym z nich ziarno oświaty przyjęło się i wyrosło, lecz jakże odmienne wydało owoce! Książę jest człowiekiem pełnym najlepszych chęci, czystych uczuć i sprawiedliwych w ogólnym zarysie przekonań; lecz wpływ dusznej atmosfery salonów i jezuickiego kolegijum zostawił w nim niezatarte ślady: niedostatek trzeźwej energii, niezaradność w obec braku przewodnika towarzyszą wszystkim jego planom na szerszą rozmierzonym skalę. Bogumił, poza chorobliwą przesadą synowskich uczuć, oraz erotycznym i artystowskim piérwiastkiem charakteru, jako czynny przewodnik Maryjana i towarzysz filantropijnych jego wycieczek, więcej już objawia siły reakcyjnej, więcej zdrowia i jednolitości psychicznej. Szerepeciński nareszcie—to postać zajmująca, a nawet, w pewnej mierze oryginalna. Sarkazm nieschodzący z ust w obec kłamstwa,próżności i ciemnoty, oraz pewna dzikość w stosunkach z ludźmi, obok bliższej nieco znajomości braci chłopów i praktycznego udziału w reformowaniu nadętej szaraczkowej szlachty, — oto odróżniająca cecha jego charakteru.

Nie idzie nam tu wszelako tyle o rozbiór powieści, co o wykazanie stopnia, na którym w niej autor w swych socyjalnych poglądach stanął. Zaznaczamy więc tylko w krótkich słowach szczeble, których dosięgli trzej tłómacze społecznej myśli powieściopisarza.

Przebywający werterowską chorobę Bogumił, reformatorstwo swoje ogranicza na zaszczepianiu bratnich uczuć w poddańczym ludzie i pobieżnym oświecaniu młodszej braci szlachty. Bogaty w materyjalne środki książę, lecz zaledwo poznający przy pomocy Bogumiła kraj rodzinny i jego mieszkańców, organizuje *zaocznie* szkółki i myśli o zakładaniu pożyczkowych śpichlerzy na rozległą skalę dla zapobieżenia nędzy i upadkowi zagonowych rolników. Szerepeciński nareszcie plany społeczne księcia (sprzymierzonego z Bogumiłem) ostatecznie wyjaśnia, rozwijając widocznie, aż do ostatniej nici, kłębek pragnień samego autora. Nie możemy się nie zgodzić z prostą, a naiwnie przez Maryjana podziwianą myślą tego niby chłopa-reformatora, gdy zwraca uwagę szczęśliwszego brata w Chrystusie na potrzebę bliższego poznania ludu i wybieranych dla niego pośrednich przewodników. Lecz jakże on dzikie, jak nierozsądne poza tym zdaniem wygłasza teoryje!—jak błyskotliwych sofizmatów na ich poparcie używa!—„*Przytułki* (mówi) *są nieużyteczne, a nawet szkodliwe, bo oduczając lud od miłosierdzia, zabijają cnoty indywidualne.... Biednych, ślepych, kalekich lirników nie godzi się do przytułków zamykać! Nadweręża się przez to poetyczna strona bytu ludowego, wydziera się sercom roskosz najświętszego uczynku miłosiernego, roskosz pozyskania modlitwy za jałmużnę...*" Banki pomocnicze, zdaniem autora „Ducha i krwi" również niepotrzebne, a nawet dla samego założyciela w skutku szkodliwe, gdyż ten, jako kredytor, „zamiast wdzięczności, nędzny procent ma w zysku."

Nie wiem, jak się czytelnicy zapatrują na te, mile w ucho wpadające, aforyzmy. Co do nas, widzimy w nich tylko ciasne samolubstwo średniowiecznego sybaryty, ulepiające go pracowicie dla swych nielogicznych protestów, powiewną maskę ze wszystkich wyrazów mistycznego słownika.

Autor „Oficyjalisty" wolnym już jest od niektórych poetycznych przesądów autora „Ducha i krwi", nietylko bowiem nic nie ma przeciw bankom, lecz nadto założenie ich sam gorącą radą popiera; bo „nędza łże i kradnie", a instytucyja kas pomocniczych dzielnym jest środkiem ku polepszeniu materyjalnego bytu okolicznej ludności. Oficyjalista też zaznacza ostatni moment w rozwoju społecznych idei naszego powieściopisarza. Nie ogranicza się on tu, jak w „Marcinie futorniku" na lękliwej bierności, nie kąpie pobożnych pragnień w mglistym nimbie ogólników, i nie błądzi rozpraszając siły na krzyżowych drogach bez busoli doświadczenia, jak w „Duchu i krwi"; ale, zwracając się z pochodnią reformy ku jednej, upośledzonej klasie służalczych *nędzników*, dochodzi jako powieściopisarz do pewnego, uwieńczającego zadanie wniosku.

Nasz autor w „Oficyjaliście" przez pryzmat czystego chrześcijanizmu dostrzegł z łatwością zło, leżące w zasadniczym węźle stosunku, jaki zachodzi między klasą dziedzicznych właścicieli ziemskich a klasą starszych sług, stróżów i nadzorców gospodarstwa rolnego.

„Dziedzice (mówi on) uważają poprostu oficyjalistów za złodziei, i jako takich traktują; oficyjaliści dziedziców — za ciemiężców swych i krzywdzicieli, i nie poczuwają się do żadnych względem nich obowiązków sumienia. Taki ustrój społeczny, taki moralny stosunek między klasami jest prawdziwą plagą dla kraju, przeciw której szukać rady skutecznej jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka".

Myśl ta poprzednicza i wstępna, dość jasno jak widzimy, sformułowana, rozwija się szczegółowo i dobitnie w urozmaiconej galeryi sług i panów, których wędrujący za służbą „misyjonarz-oficyjalista" na drodze swej spotyka.

Stosunek panów do sług, a stąd stopień ujarzmienia oficyjalistów, zależny głównie od charakteru zwierzchniczych jednostek, sprowadza wogóle autor, o ile zdołaliśmy go zrozumieć, do trzech różnych form, stanowiących niejako trzy wydatne odcienie głęboko zakorzenionego zła. Tu pan trzyma swe sługi w gnębiącym jarzmie na niskiej płacy (prezes Sadłowiecki), częstokroć pod warunkiem *bezżeństwa* (plenipotent z Gruszek), owdzie znów zrzeka się nad niemi szczególnego kierunku, zdając ich wraz z mieniem na łaskę — utuczonego długim monopolem pełnomocnika, gdzieindziej nareszcie *płaszcz patryjarchalnej, opieki*, rozciągniony ponad własnością (pan Rawski), osładza poddaństwo, lecz nie przepuszcza światła, a tym samym utrzymuje zło w starych granicach.

Kastowe przedziały między stanami są najważniejszą przeszkodą do ich rozwoju ku lepszej przyszłości. Najlepszym śród ogółu ziemskich właścicieli, „podła krew" służalców nie pozwala myśleć o ich naprawie, a szaraczkowa szlachta służebna, w stosunkach towarzyskich poczciwa, w kościele pobożna, w kole rodzinnym serdeczna, z panem tylko i chłopem nie umie dokładnie czarnego od białego odróżnić.

Za jedyny czynnik, mogący znosić stopniowo ten szkodliwy dla dobra ogólnego rozdźwięk społeczny, uważa autor—jak z jednej tak z drugiej strony *moralną oświatę*, polegającą głównie na wykształceniu uczucia i wyrobionym potęgą czynu — „*duchu ofiary*".

Rzeczywistym jednak gruntem tego zbawczego czynnika, którego poeta odsłonić nie chciał, lecz z którym się nie ukrywa *socyjalista*, jest trzeźwe z obu stron *poznanie własnego interesu* i wytrwała o połączonych siłach praca uciśnionych.

Widzki, postać uwianowana przez autora we wszystkie zalety umysłu i serca, dąży do przeprowadzenia swych zasad pochrystusowemu — słowem i przykładem. Zasady jego nie grzeszą wybujałością, lecz są o tyle trzeźwe i zdrowe, że bierne, powolne tętno pługowej poezyi znajduje w nich szczery odcień żywości i uruchomienia. Nie należy się jednak łudzić przypuszczeniem, że autor wstępuje tu w zakres czysto-filozoficznych nad życiem społecznym zaciekań.... Poeta, twórca „piosnki rodzinnej" każdą tkankę myślicielską szkiców, mgłą bierności napaja, każdy czyn w obłok cudu i modlitwy otula. Kłamliwe sprzymierzenie poezyi z filozofiją, naiwnych uczuć i pobożnego przesądu z myślą o reformie jaskrawi się przed oczyma trzeźwego czytelnika w najsłabszym ustępie tego poetyczno-socyjalnego traktatu... Gdy „gorszyciel-bezbożnik" Fikręcki (człowiek, jak to już wspomnieliśmy, o bardzo niewyraźnych rysach) zastępuje drogę „misyjonarzowi-oficyjaliście", bledną tęczowe barwy w jego apostolskiej koronie, i, zamiast spokojnej nauki—słychać oburzenie, zamiast głosu reformy w duchu przyszłości, — krzyk dziecinnej nietolerancyi. Skąd to pochodzi? — Czemu ten ustęp przedstawia się umysłowi czytelnika jakby jaki ugor, świecący pustką z poza ostrokołu wykrzykników?—Ha!—to rzecz jasna...: łzawy piewca „Pamiątek domowych", autor „Piastunki" wskazuje tu na granicę swego socyjalistycznego myślicielstwa. Granicą tą jest *wiara, dogmat religijno-domowego uczucia*, mocą którego przyszłość uśmiecha się do reformatora-poety prawie wyłącznie wdziękami wiosennych zawiązków, prawie wyłącznie zasuszonemi kwiatami przeszłości, które jako poeta, bez względu na zmianę czasów i potrzeb społecznych, uważa zawsze za świeże i perłą niebieskiej rosy błyszczące.

Bądź co bądź „Oficyjalista" jako popularny traktat społeczny jest dziełem niepospolicie ważnym, i w stosunku do potrzeb bieżących bardzo pożytecznym. Nie wykreśla w nim wprawdzie autor dość jasno drogi ku lepszej przyszłości, lecz stan obecny, stan ujemny społeczeństwa, leżącą odłogiem niwę pracy w charakterystycznych obrazach dobitnie przedstawia, a tym samym, wyraźnie wskazuje na to, *co się dopomina uprawy i naprawy*, i gdzie leży rana, powodująca rozdźwięk w stosunkach wioskowego społeczeństwa.

We wszystkich utworach Pługa, których zakres przechodzi sielankową apoteozę domowej strzechy, toczy się w zasadzie walka *chrześcijańskiego socyjalisty* z ćmą przesądów kastowych, dzielących szlachcica od arystokraty i chłopa. W boju tym proste uczucie poety rozróżnia dwa krańcowe obozy, z których jeden pod czarnym, drugi pod błękitnym walczy sztandarem. Ludzie dla niego są to przedewszystkim uosobnione uczucia i maksymy, ścierające się w odwiecznym boju Ormuzda z Arymanem. Dlatego też żaden może z naszych powieściopisarzy nie odsłania tak jasno i bezwarunkowo charakterów ujemnych od dodatnich, czarnych form potępionych myśli—od napółżywych *bez cienia i mroku* ideałów. Myśl ta wprowadza nas w zakres uwag nad artyzmem Pługa.

(*d. n.*)

LISTY ZE STAREGO OBOZU

PRZEZ

Bolesława Prusa.

(Dalszy ciąg.)

Upłynęło lat sześć.

W owej epoce spadł mi na kark proces familijny mający się rozegrać w trybunale miasta X. Nie wiele tedy zwlócząc, zebrałem trochę grosza i jechałem na sądy, pomny, że nierychło do dom powrócę. W drodze myślałem o tym i owym, a między innemi i o

Franciszku, który, jako miejscowy, według mego zdania, wielce mógłby mi ułatwić popychanie sprawy. Projekt ten klinem utkwił mi w głowie, zaledwiem więc przybył do hotelu w X. i trochę się ogarnął, wnet wyszedłem na miasto zachwycić języka o naszym krewniaku.

Traf zdarzył, że zdybaliśmy się w cukierni.

„Jak się masz"—„jak się masz"—„co robisz"—„co robisz"—daliśmy sobie trochę buzi, wypili i przegryźli nie mało cukierniczego paskustwa, pogadali o znajomych, westchnęli za nieboszczyków i uradzili na końcu abym ja u Franciszka zamieszkał. Słowo się rzekło; nie tracąc zatym czasu, wpadliśmy do hotelu, łachy pod pachy i marsz do kwatery.

Tylkom wszedł, złapałem się za łeb: O Chryste ratuj grzesznika! jęknąłem w duszy. Czyste zburzenie Jerozolimy.

Było cztery pokoje, dwa zamieszkałe, dwa puściuteńkie aż cię strach zbierał człowieku kiedyś do nich wszedł. Podłoga jak święta ziemia, ściany i szyby haniebne, a jeżeliś stąpnął głośniej, echo gadało po kątach!

Gdzie Franuś popasał, było nieco ludniej i brudniej. Więc w jednej komnacie łóżko na kształt karawana, stół na którym znalazłeś tytoń i cukier, książki i świecę. Na tym krzesełku ręcznik, na owym kamizelka,—na oknie samowar i para szklanek, na stołku miska. Obok pieca pod prześcieradłem na ścianie wisiało coś, przekonałem się później, że to cała garderoba naszego kuzyna.

W pokoju drugim był kufer, paka deską nakryta i papierzysków jak w śmietniku; w całym zaś lokalu myszy po podłogach, a pluskwy i pająki po ścianach wielkie czyniły procesyje.

Myślę sobie: a tom wpadł!... jak Daniel do lwiéj jamy, albo Jonasz do wielorybich wnętrzności,—i zrobiło mi się bardzo nijako.

Wkrótce przecież rozwaga wzięła górę i zamiast desperować, jąłem się porządkować. Więc pluskwy wyparzyłem, lokaja wyczubiłem, podłogę wyskrobałem, dziury pozalepiałem, oknam poodnawiał, sprzętów ponastawiał i w tydzień u siebie było mi jak w niebie. Rzekłem więc w duchu: teraz się już biedzie nie dam, a może potrafię z niéj i Franusia wykaraskać.

A na taką rzecz był czas nie mały, bo któregośkolwiek zmysłu użył dla zebrania o tym mizeraku wiadomości, zawsześ znalazł tylko jedno i jedno, oto: wielkie zaniedbanie w gospodarstwie, upadek na duchu, konfuzyją w stosunkach z ludźmi.

Póki gadał o historyi naturalnéj, a ty zamrużone oczy miałeś,—rosło ci serce z radości tak płynnie i rozumnie odzywał się. Mówisz tedy: ej! to chłop niczego, ma głowę nie do pozłoty i język jak Ś-ty Jan Złotousty! Ale jakeś oczy otworzył, wszystko zginęło, bo nie mogłeś przypuścić żeby na takiéj głowie rosły takie nieczesane włosy jak u niego, żeby taki piramidalny język obracał się w takiéj chudéj i rzadko mytéj gębie. Surdut wisiał na nim jak ścierka na gwoździu, a spodnie? ach! biada rodzajowi męzkiemu.... Nosił przytym Franio kołnierzyki przedhistorycznéj formy i wątpliwego koloru i chustkę na szyi obwiązywał jak delikwent, którego (niech nie powiem w złą godzinę), za parę chwil do sznurka przyczepić mają.

On sam narzekał, oj narzekał, a ludzie sobie kpili, oj kpili! Nikt u niego nie bywał, on prawie u nikogo; konkurował o niejakąś pannę Zofiję już nie młodą i nie piękną, ale ona odmówiła mu, twierdząc półgębkiem, że nie chce mieć męża brudasa. Ojciec jéj też odradzał gadając głośno, że nie chce zięcia odludka, i półgłówka, u którego ani w preferansa zagrać nie można, ani kolacyi dobréj nie dostanie. „Co mi djabli po jego rozumie, (objaśniał mnie raz stary, gdyśmy się poznali) kiedy to ani do Boga, ani do ludzi. Pensyją ma niezgorszą, 6,000 rocznie, a bieda w domu i nieład, a grzbiet goły, nogi bose i kieszeń pusta. Przytym, widzisz acan dobrodziéj, ta Dorota jego praczka"... (tu mi się dziadzisko do ucha nachylił i coś niewyraźnie wyszeplenił, zębów mu bowiem brakowało).

Myślę—a cóż to znowu? co staremu do jakiejś tam Doroty? Kto bieliznę pierze, ten pierze, aby tylko prał, na tym koniec. Ale że grzyb był pieniężny, miał dom i sad za miastem, gotowiznę w skrzynce pod łóżkiem, ścisnąłem go więc za rękę i rzekłem:

— No nie gniewaj się jegomość dobrodziéj, zmieni się to na lepsze i niedługo mieć będziemy wesele.

A ojciec na to:

— Dałby Bóg mój acan dobrodziéj, bo szkoda chłopca—serce jest, rozum jest, tylko ładu niema za grosz. A przytym, powiem acanu *sub secreto*, że mi dziewczynę, swoim gadaniem o różnych rzeczach przyrodzonych trochę obałamucił i schnie mi mój piękny kwiatek, w mojéj własnéj posesyi za Warszawską rogatką, gdzie acana dobrodzieja codzień na kwaśne mléko zapraszam.

Ucałowaliśmy się i rozeszli,—stary mrucząc pacierze, a ja zachodząc w głowę, co tu począć!.... Boć interes był dobry.—Żona siaka taka, ale zawsze żona i kobiecisko nie złe; dom od siedmiu boleści, ale zawsze dom. Ha! mówię, trza coś zrobić i postanowiłem od tego jeszcze wieczora zacząć nawracanie Franusia.

Przed stanowczym atakiem, zastanowiłem się chwilę nad rodzajami i przyczynami klęsk naszego kuzyna i otóż com dostrzegł bądź na drodze obserwacyi osobistéj, bądź rozpamiętywając opinije ludzkie o tym przedmiocie:

1-o. Franuś nie umiał się rządzić, a w skutek tego mimo znacznéj płacy, cierpiał niedostatek i doznawał masę przykrości drobnych, które jednak gnębią człowieka, np. biorąc koszulę, musiał związywać rękawy sznureczkiem lub do miasta posyłać po guziki, których brakowało. Siadając do roboty, musiał pierwéj półgodziny odszukiwać między papierami potrzebnych szpargałów. Pożyczając komuś pieniędzy, nie pytał, czy dłużnik jest w stanie zwrócić pożyczkę, a skutkiem tego doznawał zawodów i braków. Te drobne przeciwności powtarzające się, gniewały go i humoru pozbawiały, lecz on, zamiast pomyśleć o przyczynie ich i sposobach usunięcia, narzekał na nieprzyjazne sobie losy i złą budowę świata.

2-o. Franuś nie znał form towarzyskich, nie zwracał uwagi ani na swoje postępowanie, ani na wymagania ludzkie, a skutkiem tego zjednał sobie opiniję uczciwego półgłówka,— np. Raz wypadły jego imieniny;—jaki taki winszował mu, a on bez myśli zaprszał do siebie na wieczór. Nadszedł wieczór, z nim razem kilkanaście osób na ucztę, a Franuś tymczasem najspokojniéj odczytywał sobie książkę. Szczęściem miał trochę pieniędzy, posłał więc po jedno i po drugie do cukierni i restauracyi i wydał około 20 rs. na przyjęcie; mimo to jednak trzeba było od sąsiadów pożyczać szklanek i filiżanek do herbaty, krzeseł do siedzenia, trzeba było zamienić łóżko, kufer i pakę na kanapy i fotele i karmić biednych gości na brudnym nienakrytym stole. Licho szła zabawa, bo Franuś ciągle sobie coś przypominał, ciągle był przestraszony i kwaśny. Naśmieli się też z niego ludzie i drugi raz z wizytą nie przyszli. I w tym wypadku kuzyn nasz niechęć bliźnich przypisywał złéj swojéj doli, zamiast przypomnieć sobie, w jaki sposób inni przyjmują gości, a w jaki sposób on ich przyjmował!...

3-o. Franuś całe swoje mienie kładł prawie pod gołym niebem i służby nie pilnował, skutkiem czego był okradany i źle obsługiwany. Lokaj jego Kacper miał w mieście opiniję łotra, a o praczce Dorocie ludzie gadali ze śmiechem i bardzo ogólnikowo. Wprawdzie ojciec panny Zofii (do któréj Franio cholewki smalił), opowiadał mi jakieś szczegóły, ale tak cicho i niewyraźnie, że nic a nic rozumieć nie mogłem,—mimo to jednak zmiarkowałem, że sludzy, a w szczególności Dorota wielce szkodzą naszemu krewnemu.

4-o. Sam Franuś, wyrzekał, że ludzie mu nie ufają choć on nie jest kłamcą i że często prawie pod nosem śmieją się z niego choć on nie jest kłamcą i że często prawie pod nosem śmieją się z niego, choć on nie jest głupi. Lecz jakże mu było ufać, kiedy biedak nigdy o obietnicach swoich nie pamiętał, jak się nie śmiać, kiedy skutkiem nieuwagi robił i gadał głupstwa. Raz pn. składał inspektorowi szkół wizytę w rozpiętéj kamizelce, drugi raz przy obiedzie serwetką nos ucierał i t. p.

5-o. Skutkiem tych wszystkich niedorzeczności nie miał szczęścia do kobiet, choć miał wielki pociąg do żeniaczki i wzdychał na wspomnienie panny Zofii.

Widzisz tedy, mój Michale, że niebadanie życia pociąga za sobą takie następstwa jak pierwszy lepszy występek: niebadający bowiem doznaje ustawicznych niepokojów, ma nieład w domu, antypatyją u ludzi i dostaje arbuzy od panien, i t. d. Sam teraz powiedz, czy nie mam racyi zachęcać cię do podobnych badań i czy nie miałem racyi skłaniać do nich Franusia? To też zaledwie przyszedłem do domu, zacząłem z kuzynem naszym taką rozmowę. *(d. c. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kraków 20 Lutego 1873.

Zapewne was interesuje jak też stary Kraków obchodził czterechsetletnią rocznicę urodzin Kopernika. Opowiem wam pokrótce.

Jeszcze latem roku zeszłego doniosłem był o fiasco jakie zrobił tutejszy uniwersytet wybierając na rektora—niemca Füricha. Na rok bieżący wedle tradycyjnéj kolejki rektor powinien był być obrany z wydziału prawnego. Najwłaściwszym kandydatem był profesor Dunajewski, który już przedtym był rektorem, a jako profesor, jako poseł na sejm i mówca znakomity, powszechnie lubiony i poważany. Ale partyja niemiecka niechciała go i postanowiła kandydaturę swojego stronnika prof. Füricha. Wszakże liczono na to, że profesorowie wydziału teologicznego staną po stronie Dunajewskiego. Zdawało się przeto, że wybór jego jest zapewniony. Inaczéj się jednak stało: panowie teologowie woleli niemca niż polaka to właśnie przeważyło liczbę i p. Fürich został wybrany. Kiedy się zbliżył czas przygotowań i ułożenia programatu obchodu jubileuszu Kopernikowego, wylazły na wierzch niemieckie pazurki pana rektora.

Sławny Matejko chcąc uczcić ten dzień uroczysty wykonał duży obraz olejny, wyobrażający Kopernika w chwili kiedy mu stanął przed oczyma rzeczywisty ruch ciał niebieskich. Matejko napisał do senatu akademickiego, prosząc ażeby pozwolił ustawić obraz w gmachu kolegijum Jagiellońskiego, na galeryi, tak ażeby z przestronego placyku wewnątrz kolegijum wszyscy mieszkańcy mo-

gli go oglądać. P. Fürich sprzeciwił się temu stanowczo. Następnie na zaproszenie Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, ażeby uniwersytet wysłał od siebie delegata do Torunia na dzień obchodu, p. Fürich także się niezgodził, a kiedy profesor Stanisław hr. Tarnowski oświadczył, że gotów jest jechać o własnym koszcie, byleby uniwersytet upoważnił go do reprezentowania na zjeździe uniwersytetu — p. Fürich odpowiedział, że może jechać jako prywatna osoba.

Mimo takie dowody nieżyczliwości niemieckiéj, dzięki zabiegom innych profesorów, dzięki szczególnéj troskliwości prezesa akademii umiejętności D-ra Majera i prezydenta miasta D-ra Dietla, uroczystość Kopernika odbyła się w Krakowie poważnie, wspaniale i nader świetnie. Zwierzchność akademii, uniwersytetu, instytutu technicznego, oraz reprezentacyja miasta połączyły się ze sobą dla wspólnego obchodu.

18 Lutego wieczorem Akademija umiejętności otworzyła szereg uroczystości posiedzeniem publicznym w swoim gmachu. Pierwsze to było posiedzenie *publiczne* od utworzenia Akademii. Prezes Majer zagaił je stosownym przemówieniem, które wywołało przeciągłe oklaski. Następnie członek akad. Estreicher odczytał rozprawę historyczną Sekretarza akademii J. Szujskiego, złożonego ciężką chorobą. P. Szujski chciał skreślić pogląd dziejowy na Polskę w wieku Kopernika. Była ona wszakże zadługą, za ogólnikową, a nie zawsze ściśle do wyłączności zadania zastosowaną. P. Szujski studyjuje obecnie epokę Jagiellonów. Niestanął jednak jeszcze na tym stanowisku, które by mu wskazało jasną i pewną drogę do odróżnienia i prawdziwéj oceny panowań Jagiellonów, jednego od drugiego. Dotąd jeszcze u niego Kazimierz, Zygmunt stary i Zygmunt August jakoś się plączą, gmatwają, czasami zdaje się, że to jeden ciąg jednego panowania, tu znowu wi doczne i zbyt różniące odcienia; ale wszystkich trzech p. Szujski kocha bardzo. Nielubi tylko Aleksandra, bo powiada że on, W. Książe Litewski, podniosł rokosz przeciwko Polsce!! Mimo to wszystko rozprawa pana Szujskiego, dla większości niewtajemniczonéj w dzieje Jagiellonów wydała się nawet bardzo uczoną. Narzekano tylko, że za długa.

Ożywienie nastąpiło w licznie zgromadzonéj publiczności, kiedy rozpoczął swą rzecz słównie Dr. Dunajewski, czł. akad., *o Koperniku, jako autorze pisma o Monecie*. Był to prawdziwy koncert w swoim rodzaju. Z rzeczy na pozór tak suchéj, p. Dunajewski potrafił utworzyć nader zajmujący obraz, zwięźle, treściwie całość przedstawiający. Wychodząc ze stanowiska ekonomicznego wyjaśnił stosunki ówczesne, doniosłość pracy Kopernika, stan mennictwa ówczesnego, a wszystko to tak jasno, zajmująco, ani na chwilę nieodstępując od głównego zadania, unikając drobiazgowości, lub czczéj deklamacyi, że zachwycił wszystkich. Mało u nas ludzi tak wysoce udoskonalonych i utalentowanych mówców, jak p. Dunajewski.

Czł. akad. L. Siemieński odczytał wiersz na cześć Kopernika, wiersz prześlicznie napisany, ale najobrzydliwiéj odczytany. Nieradzilibyśmy panu Siemieńskiemu czytać publicznie samemu swoje utwory.

Na zakończenie sędziwy prezydent miasta Krakowa, członek Rady państwa, Dr. Dietl wszedł na estradę i oświadczył prezesowi, że Reprezentacyja miejska uchwaliła ustanowienie fundacyi imienia Kopernika, przeznaczając wieczystemi czasy po 100 zł. reń. rocznie na nagrody za najlepsze rozwiązanie i napisanie w języku polskim zadań konkursowych z zakresu astronomii lub nauk z nią spowinowaconych.

Wieczorem całe miasto, niewyłączając gmachów rządowych, nawet koszar na Wawelu, Kazimierza zaludnionego wyłącznie prawie przez żydów, oraz innych najdalszych przedmieść, było rzęsiście iluminowane, a niektóre domy i gmachy bardzo gustownie. Wyjątek stanowiły jedynie kościoły i klasztory. Wybicie szyb miało miejsce w jednym tylko domu, mianowicie na plantacyjach, w domu obok hotelu Krakowskiego, gdzie okna niebyły oświetlone.

Nazajutrz o godzinie $9^1/_2$ rano z magistratury miejskiéj wyruszył pochód uroczysty, w którym wzięły udział wszystkie cechy miejskie z chorągwiami, władze autonomiczne, uczniowie zakładów naukowych, straż ogniowa ochotnicza i tłumy ludu. W ulicy Ś. Anny pochód połączył się z gronem profesorów, dziekanów i rektorem uniwersytetu Jagielońskiego przybranych w tradycyjne togi i birety, z berłami niesionemi przez bedelów. Pochód ruszył do kościoła uniwersyteckiego Ś. Anny, gdzie odbyło się solenne nabożeństwo, poczym w tym samym porządku udali się wszyscy do sali tak zwanéj nowodworskiéj, gdzie bardzo uroczyście odbył się akt publiczny. Rektor miał przemowę, a chcemy wierzyć, że była szczerą. Profesor zaś astronomii Dr. Karliński odczytał rozprawę o znaczeniu Kopernika. W czasie tego aktu nadszedł telegram od cesarza Franciszka Józefa, w którym oświadcza, że bierze udział w uroczystym obchodzie i nadaje ordery zasłużonym profesorom D-rom Majerowi i J. Kremerowi. Były rektor uniwersytetu, kanonik Teligo złożył 400 zł. reń. na stypendyja dla studentów wydziału filozoficzno-matematycznego, a prezydent Dr. Dietl 700 zł. r. na rzecz bratniéj pomocy studentów uniwersytetu.

O godzinie 5 po południu w sali muzeum techniczno - przemysłowego młodzież uniwersytetu i instytutu technicznego urządziła milutki wieczorek z orkiestrą, na którym byli obecni wszyscy profesorowie uniwersytetu i rektor; prezes i członkowie akademii umiejętności, uczeni i literaci, oraz nader licznie zgromadzona publiczność. Student B. zagaił posiedzenie stosownym przemówieniem, a następnie studenci Dobrowolski i Prochaska mieli odczyty.

W teatrze dano świeżo napisaną przez Szujskiego sztukę p. t. Mikołaj Kopernik. Obraz Matejki wystawiony był w sali radnéj Magistratu, gdzie wielo-tysięczny tłum oglądał go (bezpłatnie) przez cały dzień.

Widzicie więc, że obchód Kopernika pod każdym względem odbył się w Krakowie nader świetnie, z godnością i powagą. O drobnych usterkach niechcemy wspominać.

Karnawał u nas szumny i huczny. Panowie bawią się do upadłego. O innych nowościach literackich, naukowych i artystycznych na potem. *U. G.*

Lwów, d. 20 Lutego 1873 r.

Czterechsetną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika uczczono we Lwowie świetną iluminacyją. Kogo nie stać było na stearynę — zapalał łojówkę, ale nikt się nie uchylał od przyjęcia w niéj udziału. Ludowina przez dzień cały snuł się gromadnie po ulicach i rozprawiał jak umiał o zasługach wielkiego astronoma. Były to po większéj części gadaniny bez żadnego sensu — ale dziwić im się nie można gdy ci co tu za inteligencyją się mają — mało co rozumniejszego mogliby powiedzieć o tym. Sam byłem na przykład świadkiem następującéj rozmowy. Na ulicy Kopernika — w wystawie księgarskiéj umieszczono wizerunek Kopernika. Co chwila jakaś gromadka zatrzymuje się—przypatruje—rozprawia. Na raz młoda jakaś panienka zapytuje: Kopernik był astronomem—prawda? Starsza, prawdopodobnie jéj siostra odpowiada: On był właściwie... Czym to on był panie Feliksie? Wezwany, nie wiem już kto, ale wiem że szykowny chłopiec i z szykiem ubrany odpowiedział z uśmiechem: Właściwie kanonikiem. Tu znowu najmłodsza: Ależ czytałam, że wstrzymał słońce, wzruszył ziemię. A tak—znowu na to pan Feliks—bo on zajmował się *astrologiją* i był astrologiem. To nie astronomem? pyta najciekawszy głosik sopranowy—czy może w tym nie ma różnicy? Astrologija, astronomija — brzmi odpowiedź usłużnego kawalera—a tak, to prawie jedno i to samo — to jest, jest jakaś różnica; zaraz astrolog, to właściwie... nie, astronom widzi pani to... I znowu się zaciął i poczynał da capo, że astrologija i astronomija to właściwie... i koniec końców uklecił niepodzielną całość z astrologii i astronomii. A tuż z za okna wyzierało kilka broszurek, kilka dzieł poważniejszych o Koperniku i wypadało sięgnąć tylko do kieszeni i wydać *kilka centów* zamiast narażać się na pośmiewisko, ale panuje tu ogólny niemal księgowstręt a i manija rozprawiania na wiatr argumentami, jakie ślina na język przyniesie. W urodziny Kopernika zaznaczam to z przyjemnością, wystąpiły wszystkie stowarzyszenia przemysłowe, naukowe i dyrekcyje nawet szkół niższych z odczytami odpowiedniemi. Redakcyje pism lwowskich wyprawiły na obchód do Torunia reprezentantów swoich, wyprawiły ich także uniwersytet i akademija techniczna a nawet zacofana gmina miasta Lwowa.

Przedmiotem żywéj dyskusyi profanów, było w tych dniach zagadnienie, która z trucizn zjadliwsza: belladona, arszenik czy rtęć, zaszły bowiem dwa wypadki śmierci w skutek otrucia i to jednocześnie, trzeci zaś zamach na życie, który jedną skończył się na oddaniu w ręce sprawiedliwości skrytobójców. W pierwszym wypadku—ofiarą samobójstwa padła istota młoda, kobieta, dla tego jedynie, że robiąc przed kilku laty krok ważny w życiu i zostając żoną starego człowieka—nie umiała myśleć samodzielnie, nie była słowem, człowiekiem. Kilka lat męki, smutne doświadczenie a nakoniec—rozczarowanie, rozpacz i zażycie trucizny. Wypadek drugi, otrucie się arszenikiem, także kobieta, panna już nie młoda, przyczyny wszelako samobójstwa niezbadane. Uszedł zaś szczęśliwie śmierci skrytobójczéj, niejaki pan Lewicki, dzierżawca Wólki pode Lwowem. Służba jego pokojowa, młodzieniec K. i panna Julija — para czule się kochająca, usiłowali za pomocą płynu belladony wyprawić pana swego na świat lepszy. Ona przyrządzała śniadanie, on zaniósł je panu, ale na szczęście ktoś trzeci ostrzegł był już p. L., który też nie dotknąwszy posiłku, posłał po policyją i obecnie czuła para siedzi pod kluczem przy ulicy Halickiéj, gdzie rezyduje sąd karny i gdzie młodzi skrytobójcy mieć będą czas do rozmyślań nad niegodnym swym zamiarem.

Gmina miasta Lwowa zaprowadziła z Nowym rokiem podatek nowy, a mianowicie podatek od psów, dwa guldeny od sztuki na cały rok, opłacany z góry. Każdy właściciel opłaciwszy podatek, otrzymuje dla psa rodzaj paszportu z żółtéj blaszki z numerem, co zawieszone u obróżki uwalnia psi ród od niemiłych następstw w razie zetknięcia się z oprawcą. Dochód z tego podatku przeznacza gmina na utrzymanie—co oby się sprawdziło—lepszego rygoru pod względem omiatania chodników i ulic w mieście. W łonie gminy waży się także projekt zaciągnięcia pożyczki dwumilijonowéj, co roku bowiem wzmagają się potrzeby a budżet miasta wykazuje niedobry. Nie na wiele przyda się to, a może być nawet zgubne, jeżeli równocześnie

nie pomyślą szanowni ojcowie miasta, rajcy—o racyjonalniejszym gospodarstwie w posiadłościach ziemskich, będących własnością gminy. Z wielu, podam tylko jeden przykład — polowanie. W lasach gminy zwierza tylko na pokaz, a na mocy uchwały rady, rok rocznie wydzierżawia się prawo polowania, któremuś z panów radnych śmiesznie tanio i patrzy się do tego przez palcę na barbarzyńskie tępienie zwierzyny, kiedyby właściwie należało zawiesić łowy chociaż na lat kilka. Drugim projektem, zmierzającym do wzmożenia dochodów gminy, był projekt podatku 4% od czynszu domowego. Dopieroż panowie radni, właściciele domów, zawrzeli oburzeniem a ochłonąwszy nieco osądzili tak: Zgoda na podobny podatek, ale niech go opłacają lokatorowie. I koniecznie domagało się tego wielu, pomimo, że wynajmujący drogo mieszkania, nie mają we Lwowie żadnych a żadnych wygód. Odnowienie mieszkań, przestawienie pieców, kuchni, często nawet oświetlenie korytarzy zwalone na niezamożnych czynszowników bez regresu. Albo, „jeżeli się państwu nie *spodoba*, to ja nie stoję o to, wyprowadzajcie się, mnie jeszcze w rękę pocałują i zapłacą lepiéj za to mieszkanie"—tak argumentuje każdy niemal obywatel lwowski. A trzeba wiedzieć, że w pojęciu mieszczaństwa lwowskiego—nie jest obywatelem, kto nie jest właścicielem bodaj lichéj kletki przedmiejskiéj.

Żyjemy tu jeszcze w wielkim lesie przesądów i uprzedzeń, dla poparcia twierdzenia jeszcze jeden fakt. W szkole izraelskiéj był tu nauczycielem języka polskiego młody człowiek pan O. znany nawet jako autor gramatyki dla szkół początkowych; byt jakkolwiek skromny, zapewniała mu jednak ta posada, bo 500 złr. rocznie—a pomimo to porzucił ją dobrowolnie. I dla czego? W szerszych i ciasnych kółkach rzucano mu ciągle w oczy: jak możesz wysługiwać się żydom—albo—nie zechcą cię nigdzie przyjmować —lub nareszcie zarzut jezuicki—czy to się godzi, żeby katolik służył żydom itp. Jakkolwiek kładziemy wiele na karb niewytrwałości pana O. i nie możemy mu przyznać cywilnéj odwagi - bo należało raczéj występować śmiało przeciw przesądowi i bezsensom—to niepodobna z drugiéj strony darować społeczeństwu mającemu pretensyje do postępu. I tak pan O. rzuciwszy korzystniejszą posadę dla siebie i z pożytkiem dla społeczeństwa pełnione obowiązki, poszedł w szereg dyjetaryjuszów Wydziału krajowego, którym płacą dziennie guldena i dziesięć centów dodatku z powodu drożyzny.

Najzgubniejszy wpływ wywiera i cofa wstecz, przekręcanie nowych teoryj i wyrazów określających je—a jest tu pewna sfera we Lwowie, pracująca gorliwie nad wprowadzeniem chaosu do pojęć ogółu. Są to ludzie, dla których za mało propagandy żywego słowa, otwarcie mówiąc niektórzy zajmujący się redakcyją *Przeglądu lwowskiego*. Zidentyfikowali pozytywizm z sobkowstwem, naukę z zamachem na wiarę i szermują dowolnie i swawolnie. A rozmaitemi posługują się środkami. Ponieważ pismo ich nieprzystępne jest dla warstw niższych, drukują więc broszury z tytułami naprzykład *100* dni odpustu zupełnego, a treścią broszury: nie czytajcie dzienników, bo to herezyja, nie idźcie na popularne wykłady do ratusza, bo tam czyhają zatraciciele dusz katolickich i t. p. Oczywiście, że nie skory z natury ludek do słuchania słowa, nad którym trzeba pomyśleć a tymbardziéj do czytania, idzie raczéj do szyneczku i zapija się, bo przecie kupiwszy broszurę dostąpi i tak odpustu.

T. S.



Henryk Brodaty, ustęp z dziejów epoki piastowskiéj, napisał *Stanisław Smolka*, Lwów 1872 str. 106.

36-letni okres panowania Henryka Brodatego na Szląsku, będący właściwym przedmiotem historycznego studyjum p. Smolki, nie przedstawiał żadnych cech wydatniejszych, któreby złożyć się mogły na opis zajmujący i dramatyczny. Chcąc skreślić szczegóły tego życia składającego się z codziennych lub mało znaczących wypadków, potrzeba było pracy drobiazgowéj, mozolnej, któréj rzadko kto podjąć się chce lub może. P. Smolka przy pomocy niemieckich opracowań, mianowicie Stenzla i Grünhagena, zaglądał do kronik szląskich grubą warstwą dziejowego kurzu okrytych i zbierając frazes po frazesie niezmordowanie mozajkę swoję układał. Zaznaczywszy ogólny charakter téj mozajki, nie będziemy rozbierali pojedyńczych składowych kamyczków, które naturalnie nie błyszczą bynajmniej olśniewającemi barwami. P. Smolka opowiedziawszy w krótkich słowach losy kraju po podziale Krzywoustego; i dzieje jego wnuków po najstarszym synu Władysławie, określa stosunki Henryka Brodatego do sąsiednich książąt, usiłując mu nadać wysokie historyczne stanowisko, co, na nieszczęście nie poparte jest innemi dowoda mi oprócz frazeologii,—daléj mówi o stosunku Henryka do kościoła i kładzie nacisk na jego opór względem uroszczeń duchowieństwa, opisuje wreszcie początek kolonizacyi niemieckiej na Szląsku i początek jego wynarodowienia, kończąc swe dziełko ogólnym poglądem na domowe życie Henryka. Zarys historyi kolonizacyi niemieckiej, jakkolwiek utrzymany w zakresie zewnętrznych jedynie faktów, jest najciekawszą częścią téj książki. Autor tu jednakże okazuje się trochę za gorliwym obrońcą giermanizmu, starając się zupełnie oczyścić z winy Henryka, że tenże żywioł niemiecki do kraju swego wprowadził, podsycał go wszystkiemi możliwemi sposobami i na długie czasy jego przewagę utrwalił. P. S. pragnie go wytłomaczyć tą okolicznością, że „ówczesnemu pokoleniu mało znanym było poczucie narodowości, które w ogólności później dopiero rozwijać się poczęło, a w Polsce, rozdartéj wówczas na dzielnice, tym bardziej mowy o nim być nie mogło". A jednakże spółcześnie niemal, w dzielnicy krakowskiej dbano o język narodowy i postanowiono, nie przypuszczać do kościoła i nauczania żadnego cudzoziemca,, któryby nie umiał popolsku. Zdanie p. S. zbyt ogólne i zbyt kosmopolityczne. Co się tyczy samego podziału kraju, autor przejęty ideą giermańską, i tu dopatruje się jej wszechwładnego panowania, choć sam z sobą zostaje w sprzeczności. „Indywidualizm jednostek—powiada—objawił się przedewszystkim w *sile repulsyjnej*, która niezgodne z duchem czasu większe organizmy państwowe rozsadzała. Utworem téj dążności był na zachodzie feudalizm.... Ta sama dążność rozdarła i Polskę na dzielnice: Krzywousty wykonał to, co prędzej czy później... bezwątpienia nastąpić musiało (str 24). W innym zaś miejscu (str. 10) utrzymuje że: „zasada podziału kraju między synów, kwitnąca w czasach, kiedy *naród za własność panującego uważano*, nie była w Polsce nowością? Tak więc raz naród jest tylko garścią grochu, którą panujący dowolnie na wsze strony rozrzuca; drugi raz jest zbiorem indywidualności tak silnych, że one jedność państwowego organizmu prędzej czy później rozerwać muszą, Gdzież konsekwencyja? Nie lepiejże było przyczyn podziału szukać w samym kraju. a nie w idei germańskiéj, w zwyczajach prastarej słowiańszczyzny, a nie w niedołężnym przedrzeźnianiu feudalizmu „tego dziecięcia giermańskiego ducha", jak się wyraża autor?....

P. Ch.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu St. Grud. Propozycyi co do przekładów przyjąć nie możemy, gdyż Rolla jest już tłomaczony a dramat nie odpowiada zadaniu Opiekuna.

Panu Adolfowi Ant. Fragmenty drukowane nie będą; można je odebrać w Redakcyi.

Pnnu K... prenumerarorowi. Teoryja literatury znajduje się opracowana w *Stylistyce* Rymarkiewicza i w *Teoryi poezyi* Cegielskiego. Biblijoteka filozofii pozytywnéj nie jest bynajmniéj *Systematycznym kursem* filozofii, ścisłego więc porządku zachować niepodobna. Logikę Milla wydamy w trzeciéj seryi wydawnictwa, wkrótce po ukończeniu dzieła H. Taine'a O umysłowości.

Panu Lud. Bo. w Wilnie. O korespondencyje i artykuły prosimy.

Prenumeratorowi z ulicy Ciepłéj. Wiadomości których pan żądasz, możemy udzielić ustnie.

Panu Rusickiemu w Łodzi. Nr, 4 i Tom I „Tajemnice Komuny" nie otrzymane z poczty miejscowéj—wydaliśmy bezpłatnie, osobie która się z listem pańskim zgłosiła.

ZAGADNIENIE.

Pierwsze dokładne rozwiązanie zagadnienia zamieszczonego w 5 N-rze „Opiekuna," nadesłał P. R. P. z Szepelówki.

„Zwierze zamknięte w komorze tak szczelnie, żeby zewnątrz powietrze dojść do niej nie mogło, zużyje wszystek tlen przez godzin 2, minut 57, sekund 51½.

Sprostowanie.—W N-rze 9, str. 70, łam 2 w przypisku, wiersz 6, zamiast: lat dziecinnych *i* serdeczną, czytaj: lat dziec. serdeczną; wiersz 7, zamiast: przyszłym, czytaj: *przytym*.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy: HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI.

Redaktor, HENRYK PERZYŃSKI.